

CHARLES
MARTIN

*Kiedy
płaczą
świerszcze*

przekład Jacek Bielas

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału: When crickets cry

Copyright © 2014 by Charles Martin
Published by arrangement with Thomas Nelson,
a division of HarperCollins Christian Publishing, Inc.
All Rights Reserved

© Wydawnictwo WAM, 2016

Wydanie drugie

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Redakcja: Teofil Krzyżanowski
Korekta: Jakub Kołacz SJ, Dariusz Godoś
Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Zdjęcie na okładce: © Mark Owen/Arcangel Images
Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-1230-1

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

Druk: Read Me • Łódź

Dla Steve i Elaine

PROLOG

Sprężynowe zawiasy ustąpiły, gdy uchyliłem drzwi, przerywając pojedynek dwóch kolibrów na podejściu przed werandą. Dźwięk ich skrzydeł pochłonęły gałęzie dereni nade mną i tam właśnie napotkałem wzrokiem poranek w postaci słonecznych smug przedzierających się przez nieboskłon. Chwilę wcześniej Bóg pomalował niebo połączeniem czerni oraz głębokiego błękitu, które rozmazał następnie wijącymi się kosmykami bawełny i rozpylił na to drobiny blasku, niektóre większe, inne mniejsze. Przechyliłem głowę, odkorkowując jak gdyby wzrok, i uznałem, że niebo wyglądało niczym gigantyczny granitowy kontuar, który odwrócony do góry nogami, zarysował krawędzie horyzontu. Może był tu również i Bóg, pijąc kawę? Z tą tylko różnicą, że On nie musiał czytać listu, który trzymałem w ręku. Wiedział już, co było w nim napisane.

Pode mną rozciągała się rzeka Tallulah, łącząc się łagodnie z jeziorem Burton głębłą przezroczystą, nieporuszonej zieleni, nietkniętej dziobami dawnych łodzi oraz motorówek Jet Ski, które miały przeciąć jej skórę i zrolować ku brzegom punktualnie o siódmej zero jeden. Niedługo Bóg pośle w górę, a jednocześnie i na zachód, słońce, gdzie zaświeci ono żarem i gdzie, zanim nastanie południe, blask od wody stanie się bolesny i malowniczy.

Zszedłem z werandy na tyłach domu, z listem zaciśniętym w dłoni, stąpając boso po kamiennych stopniach

prowadzących na nabrzeże. Poszedłem wzdłuż przepie-
rzenia, czując chłód mgły wędrujący po moich nogach
oraz twarzy, i wspiałem się po schodkach na taras hanga-
ru dla łodzi. Wślizgnąłem się do hamaka zwrócony twa-
rzą w kierunku południa, spoglądając przez lewe kolano
na jezioro. Wsunąłem palec w niewielkie mosiężne kół-
ko przymocowane do końca krótkiej linki i pociągnąłem
delikatnie, kołysząc.

Jeżeli Bóg był tutaj, popijając kawę, musiała to być Je-
go druga filiżanka, ponieważ zdążył już przetrzeć niebo.
Pozostały tylko smugi.

Emma powiedziała mi kiedyś, że są ludzie, którzy spęd-
zają całe swoje życie, próbując Go wyprzedzić, dotrzeć
być może gdzieś, gdzie Go jeszcze nie było. Problem po-
lega na tym, mówiła, że przez całe życie poszukują i spie-
szą się, ale gdziekolwiek zdołają dotrzeć, okazuje się, że
On już tam był.

Wsluchiwałem się w ciszę i wiedziałem, że ona długo
nie potrwa. Za godzinę jezioro zanieśie się śmiechem dzie-
ciaków w dmuchanych kołach, nastolatków w Ski Nauti-
que'ach i emerytów w pontonach. Oni wszyscy zastępują
gęś kanadyjską i leszcza podążających za – wykonanym
o poranku przez jakiegoś miłośnika ptaków – łańcuszkiem
z okruszków chleba, który rozciągał się w poprzek jeziora
niczym żółta brukowana droga z *Czarnoksiężnika z krainy*
Oz. Zanim nadejdzie późne popołudnie, na setkach na-
brzeży wybiegających w jezioro rozetli się węgiel drzewny
i rozniesie zapach hot dogów, hamburgerów, wędzonych
ostryg i pikantnych kielbasek. A na podwórkach i podjaz-
dach, które wszystkie pochylone są ku tafli wody niczym
wnętrze gigantycznej misy do sałatki, ludziska w każdym
wieku zsuwać się będą na przydomowych zjeżdżalniach,
rzucić podkowy pod konarami drzew, sączyć tuż nad

brzegiem miętowe drinki i koktajl margarita oraz majtać nogami zwisającymi z tarasów drugiego piętra swoich hangarów dla łodzi. Do dziewiątej prawie każdy gospodarz w okolicach jeziora zdąży roztoczyć nad nim przez godzinę parasol eksplozji, rozświetlając wodę deszczem czerwonych, błękitnych i zielonych rozbłysków. Rodzice będą zadzierać głowy; dzieci chichotać i gaworzyć, psy szczekać i napierać na swoje łańcuchy, żłobiąc bruzdy w korze drzew, do których zostaną przywiązane; koty czmychną w poszukiwaniu kryjówki, weterani będą rozpamiętywać, a kochankowie chwycą się za ręce i wślizgną bezgłośnie do zatoczek, kryjąc swoją nagość pod bezpieczną powierzchnią wody. I zabrzmi symfonia wolności.

Dzisiaj był Dzień Niepodległości.

Inaczej niż reszta miasta Clayton, w stanie Georgia, nie przygotowałem sztucznych ogni, żadnych hot dogów i planów rozświetlenia nieba. Moje nabrzeże miało pozostać pogrążone w ciszy i ciemnościach, grill zimny, pokryty sadzą, starym popiołem i pajęczynami. Dla mnie wolność była czymś odległym. Niczym znana mi kiedyś woń, której nie byłem już w stanie zlokalizować. Gdybym mógł, przespiałbym cały dzień jak współczesny Rip van Winkle, obudził się jutro i skreślił kolejną datę na kalendarzu. Ale sen, tak jak i uczucie wolności, pojawiał się rzadko i pozbawiony był głębi. Raczej krótkie epizody. Dwie do trzech godzin w najlepszym razie.

Leżałem na hamaku, sam na sam z kawą i pożółkłymi wspomnieniami. Oparłem sobie kubek na piersi i trzymałem pomarszczoną, nieotwartą kopertę. Za mną mgła unosiła się znad wody, skręcając w miniaturowe leje, które obracały się wolno jak tańczące duchy, przenikając ku górze poprzez zwisające gałęzie dereni oraz skrzydła kolibrów i rozptylając się jakieś trzydzieści stóp wyżej.

Jej odręczne pismo na kopercie informowało mnie, kiedy mam przeczytać znajdujący się w środku list. Gdybym tak zrobił, wypadłoby to dwa lata temu. Nie zrobiłem tego wówczas i nie zamierzałem zrobić dzisiaj. Może nie mogłem. Trudno jest słuchać słów, które są ostatnie, gdy wiemy na pewno, że już ich więcej nie usłyszymy. A ja miałem tę pewność. Stąd, że rocznice przychodziły i przemijały, podczas gdy ja nadal tkwiłem w tym miejscu poza czasem i przestrzenią. Nawet świerszcze ucichły.

Położyłem dłoń na liście, przyciskając go do piersi, prostując rogi koperty jak małe papierowe skrzydełka. Gorzki ich substytut.

Naokoło ludzie siedzieli w bujanych fotelach, sączyli miętowe drinki i prowadzili gorące dyskusje na temat tego, jaka dokładnie jest najlepsza pora dnia nad jeziorem. O brzasku cienie padają przed nami, wyciągając się, aby dosięgnąć nadchodzącego dnia. W południe stajemy na naszych cieniach, pochwyceni gdzieś pomiędzy tym, co było, i tym, co będzie. O zmierzchu cienie padają za nami i zakrywają nasze ślady. Moje doświadczenie mówi mi, że ci, którzy wybierają zmierzch, zazwyczaj mają coś do ukrycia.

ROZDZIAŁ 1

Jak na swój wiek była dość drobna. Mogła mieć sześć, może nawet siedem lat, lecz nie wyglądała na więcej niż cztery lub pięć. Zawadiackie serce zamknięte w ciele porcelanowej figurki. Ubrana w krótką, żółtą sukienkę, żółte podkolanówki, białe pantofle i słomkowy kapelusz przewiązany żółtą wstążką, która opadała z tyłu aż do bioder. Błada i szczupła, podrygiwała niczym skrzyżowanie Eloise z hotelu Plaza i Tygrysa z Kubusia Puchatka. Stała pośrodku miasta, przy północno-zachodnim rogu ulic Main i Savannah, wydzierając się wniebogłosy: „Lemoniaaaaaaada! Lemoniaaaaaaada po pięćdziesiąt centów!”. Wpatrywała się w przechodniów, którzy nadchodzili chodnikiem, lecz nikt nie chciał się zatrzymać. Wyciągając szyję, wspinała się na palce z dłońmi złożonymi w trąbkę. „Lemoniaaaaaaada, Lemoniaaaaaaada, po pięćdziesiąt centów!”.

Stragan z lemoniadą był solidny, choć sprawiał wrażenie skleconego kiedyś w pośpiechu i nieco już nadgryzionego zębem czasu. Cztery drewniane nogi i połowa płyty pilśniowej stanowiły rodzaj lady. Z tyłu, wsparty na dwumetrowych drzewcach, znajdował się baner, przybity do drugiej połowy sklejki. Na pomalowanej żółtą farbą powierzchni duże drukowane litery tworzyły napis: LEMONIADA – 50 CENTÓW – DOLEWKA GRATIS. Centralnym punktem całego kramu nie była jednak lada, baner, żółta chłodziarka z lemoniadą ani nawet sama mała

sprzedawczyni, lecz ustawiony pod blatem ławy, w połowie jej długości, plastikowy pojemnik. Wysunięta nieco do przodu dwudziestolitrowa pusta butla na wodę – jej własna studnia życzeń, do której całe miasto wrzucało dodatkowe banknoty niczym bezgłośnie czule słówka.

Przystanąłem, przyglądając się pewnej starszej pani z koronkową przeciwsłoneczną parasolką, która przeszła na drugą stronę ulicy i wrzuciła dwie ćwierćdolarówki do styropianowego naczynia na ladzie.

– Dziękuję ci, Annie – szepnęła i odebrała napełniony po brzegi kubek z wyciągniętych rąk dziewczynki.

– Bardzo proszę, panno Blakely. Ładna parasolka.

Delikatny podmuch wiatru zatrzepotał żółtymi wstążkami spoczywającymi na plecach dziewczynki i poniósł jej czysty, niewinny głos wzdłuż chodnika.

Panna Blakely upiła ostrożnie łyk i zapytała:

– No i jak się czujesz, dziecko?

Dziewczynka spojrzała na nią spod swojego kapelusza.

– Całkiem nieźle, p'sze pani.

Panna Blakely odstawiła kubek, a dziewczynka znowu odwróciła się w kierunku nadchodzących przechodniów. „Lemoniaaaaaada! Lemoniaaaaaada, po pięćdziesiąt centów!”. Jej południowy akcent stanowił mieszaninę miękkości i lekkiej chryпки. Z domieszką dziewczęcości przykuwał uwagę niczym sztuczne ognie w święto 4 Lipca.

Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że gdy panna Blakely odstawiła już swój kubek, skinęła głową i wrzuciła do stojącej obok dziewczynki plastikowej butli coś, co wyglądało na dwudziestodolarowy banknot.

To dopiero musiała być lemoniada.

To dziecko było niczym jednoosobowa maszyna do robienia pieniędzy. Liczba banknotów w naczyniu rosła, ale najwyraźniej nikt się nie martwił, że się ulotnią, a już

najmniej sama dziewczynka. Poza reklamującym lemo-niadę banerem nie można było się dopatrzeć żadnej infor-macji, która wyjaśniałaby, o co chodzi. Widocznie nie było takiej potrzeby. To typowe dla małych miasteczek. Wszy-scy wszystko wiedzą. Wszyscy, ma się rozumieć, poza mną.

Wcześniej tego samego ranka Charlie – mój sąsiad z drugiego brzegu niewielkiej zatoki oraz niegdysiejszy szwagier – i ja polerowaliśmy mahoniowy pokład i żeliw-ne kratownice pewnej Greavette rocznik 1947, gdy skoń-czył się papier ścierny grubości 220 oraz lakier. Rzucili-śmy monetą i przegrałem. Pojechałem zatem do miasta, podczas gdy Charlie zarzucił wędkę w tylnej części do-ku, pogwizdując na roznegliżowane panienki mijające go z wrzaskiem na swoich kolorowych skuterach wod-nych. Charlie nie kwapił się, jak zwykle, aby pojechać, ale z upodobania do rywalizacji nalegał na losowanie. I przegrałem.

Dzisiejsza przejażdżka różniła się od innych z powo-du pory dnia. Rzadko wpadam do miasta rano, zwłasz-cza gdy tak wielu ludzi tłoczy się na chodnikach w drodze do pracy i z powrotem. Szczerze mówiąc, w ogóle uni-kam miasta. Krążę dookoła, odwiedzając co parę miesi-ecy sklepy spożywcze i składy narzędziowe w okolicznych miasteczkach. Jestem kimś, kto regularnie bywa wszędzie i nigdzie zarazem.

Gdy już tu przyjeżdżam, to zwykle po południu, na kwadrans przed zamknięciem sklepu, ubrany po miej-scowemu w znoszony kombinezon i baseballówkę z lo-go jakiejś firmy produkującej narzędzia elektryczne lub sprzęt rolniczy. Parkuję od zaplecza, naciągam daszek, stawiam kołnierz i wbijam wzrok w podłogę. Wślizguję się do środka, biorę co trzeba i wynoszę się, wtapiając się w tłum

i rozplywając w powietrzu. Charlie nazywa to zakupami ukradkiem. Ja nazywam to przetrwaniem.

Mike Hammermill, emerytowany fabrykant z Macon, wynajął mnie i Charliego, abyśmy przygotowali jego Greavette rocznik 1947 na dziesiątą doroczną Paradę Zabytkowych i Klasycznych Łodzi na jeziorze Burton, która odbywać się miała za miesiąc. To był już nasz trzeci start w ciągu ostatnich lat i jeżeli chcieliśmy pokonać chłopaków z zakładów Blue Ridge Boat, nie mogliśmy żałować papieru ściernego. Pracowaliśmy na Greavette od prawie dziesięciu miesięcy i praca miała się już ku końcowi, musieliśmy jednak jeszcze zamontować pas rozrządu do napędu turbinowego i pokryć pokład oraz kratownice ośmioma warstwami lakieru, zanim łódź mogła brać udział w paradzie.

Z zaschniętym gardłem, wiedziony ciekawością, przeszedłem na drugą stronę ulicy. Wrzuciłem pięćdziesiąt centów do kubka. Dziewczyna wcisnęła małym palcem spust chłodziarki, aż pobiegały jej kostki. Drżącą od wysiłku dłonią nalała mi kubek świeżo wyciśniętej lemoniady pełnej fragmentów cytryny i cukru.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Mam na imię Annie — odezwała się dziewczynka, dygając z gracją polnego kwicia i wypatrując pod daszkiem czapki mojego spojrzenia. — Annie Stephens.

Przełożyłem kubek do drugiej ręki i prężąc się, zadeklamowałem.

— Dzięki ci wielkie za takową ulgę. Okropnie to zimne, aż mi cierpko w sercu.

Zaśmiała się:

— Sam to wymyśliłeś?

— Nie — pokręciłem głową. — Pewien facet o nazwisku Szekspir. To fragment historii, którą kiedyś napisał, pod tytułem *Hamlet*.

Gdy większość moich kolegów ekscytowała się serialem *Waltonowie* albo *Policjantami z Hawajów*, ja spędziłem dużą część swojego dzieciństwa na czytaniu. Nadal nie mam telewizora. Mnóstwo umarłych pisarzy nieustannie sączy mi do głowy swoje szepty.

Uniosłem nieco daszek czapki i wyciągnąłem rękę.

— Reese. Nazywam się Reese.

Słońce znajdowało się za moimi plecami, wspinając się coraz wyżej po nieboskłonie i ogrzewając powietrze. Mój rozciągnięty na chodniku cień chronił przed słonecznym blaskiem wzrok Annie, która po chwili zadumy odezwała się:

— Reese to dobre imię.

Jakiś człowiek przemknął obok, niosąc dwie papierowe torby z zakupami. Odwróciła się w jego kierunku i wrzasnęła tak głośno, że można ją było pewnie usłyszeć trzy przecznice dalej:

— Lemoniaaaaada!

Skinął głową.

— Dzień dobry, Annie. Zaraz wracam.

Odwróciła się do mnie.

— To jest pan Potter. Pracuje w tamtym miejscu — wskazała. — Lubi swoją lemoniadę z dodatkowym cukrem, ale nie jest taki jak niektórzy moi klienci. Przydałoby im się więcej cukru, bo słodcy to oni nie są.

Zaśmiała się z własnego żartu.

— A ty tutaj tak codziennie? — spytałem w przerwie pomiędzy drobnymi łykami. Jedną z rzeczy, których nauczyłem się w szkole, kiedyś podczas tych długich nocy, to

wiedza, że jeśli zadać wystarczająco dużo właściwych pytań, tego typu pytań, które krążą wokół tematu, nie zmierzając od razu do celu, ludzie dają nam zazwyczaj to, czego oczekiwaliśmy. Pod warunkiem że się wie, o co pytać, kiedy o to zapytać i co najważniejsze, jak rozpocząć taką rozmowę od serca.

— Poza niedzielami, gdy Cici wybiera z pojemnika żywą przynętę dla klientów sklepu wędkarskiego Butcha. Bo w pozostałe sześć dni pracuję w tamtym sklepie.

Wskazała w kierunku magazynu z narzędziami, gdzie za kasą — odwrócona do nas plecami — stała jakaś kobieta o tlenionych blond włosach. Jej palce ślizgały się po guzikach kasy, wystukując czyjś rachunek. Nie musiała się odwracać, aby na nas patrzeć, spoglądając w półtorametrowe lustro zawieszone nad ladą, dzięki któremu była w stanie obserwować wszystko, co działo się wokół straganu Annie.

— Cici? — zapytałem.

Uśmiechnęła się i ponownie wskazała na sklep.

— Cici to moja ciocia. Ona i moja mama były siostrami, ale mama nigdy nie włożyłaby ręki pomiędzy dżdżownice albo do pijawek — zauważyła mój pusty kubek, nalała mi drugi i kontynuowała: — Jestem tu zatem przez większość czasu przedpołudniami aż do lunchu. Potem idę na górę, pooglądam sobie telewizję i zdrzemnę się trochę. A ty? Czym się zajmujesz?

Zareagowałem tak jak zwykle, mówiąc prawdę i nieprawdę zarazem. Gdy usta mówiły „pracuję przy łodziach”, umysł odpływał w inne rejony: *Bo gdybym swoją zewnętrzną postać zdradził coś z tego, co kłębi się w sercu / To równie dobrze mógłbym samemu rzucić się na żer gołębom. Nie jestem, kim jestem.*

Przymrużyła oczy, a jej wzrok wędrował gdzieś ponad moją głową. Oddech Annie był ciężki, chrapliwy od wy-

dzieliny, przytłoczony uporczywym kaszlem, który starała się ukryć i powstrzymywać. Gdy skończyła mówić, cofnęła się i wyczuwając stopą brzeg chodnika, usiadła na rozkładanym krześle turystycznym ustawionym za straganem. Splotła dłonie i oddychała, a wiatr rozwiewał jej żółte wstążki, które tańczyły wokół kapelusza.

Obserwowałem jej klatkę piersiową, unoszącą się i opadającą. Zza dekoltu sukienki wystawała długa na dwa centymetry nitka blizny ze śladami szwów. Nie starsza niż roczna, kończyła się tuż pod niewielką fiolką na tabletki, zwisającą na łańcuszku zawieszonym na szyi. Wiedziałem, co to były za pigułki.

Trąciłem lewą stopą dwudziestolitrowy pojemnik na wodę.

— Na co ta butla?

Musnęła palcami swój dekolt, ukazując dalsze dwa centymetry blizny. Ludzie mijali nas, przechodząc chodnikiem, ale Annie wyglądała już na zmęczoną i nie tak chętną do rozmowy. Jakiś siwowłosy gentleman pojawił się w drzwiach agencji pośrednictwa nieruchomości znajdującej się nieopodal, zbliżył do straganu i nacisnął guzik chłodziarki.

— Dzień dobry, Annie.

Wrzucił dolara do kubka stojącego na ladzie i drugiego do plastikowej butli przy moich nogach.

— Witam, panie Oskar — powiedziała na wpół ściszo-
nym głosem. — Dziękuję. Do zobaczenia jutro.

Końcami palców dotknął jej kolana.

— Do zobaczenia jutro, serduszek.

Spojrzała na mnie i na niego, gdy oddalał się chodnikiem.

— Każdego nazywa serduszek.

Włożyłem do kubka pięćdziesiąt centów, a gdy nie patrzyła, dodatkowo banknot dwudziestodolarowy.

Przez ostatnie osiemnaście lat, a może dłużej, noszę po kieszeniach, i za paskiem, mnóstwo różnych rzeczy. Mosiężną zapalniczkę Zippo, chociaż nigdy nie paliłem, dwa scyzoryki z zapasowymi ostrzami, zestaw igieł i nici krawieckich oraz latarkę. Parę lat temu znalazła się tam jeszcze jedna rzecz.

Skinęła na moją latarkę.

— George, nasz szeryf, nosi latarkę, która jest bardzo podobna do twojej. Widziałam też kiedyś taką w ambulanse. Jesteś pewien, że nie pracujesz w policji albo w pogotowiu?

— Jestem pewien — kiwnąłem głową.

Kilka przecznic dalej doktor Sal Cohen wyszedł ze swojego gabinetu i kroczył właśnie chodnikiem. Sal jest w miejscowym szpitalu lekarzem naczelnym, znanym i kochanym przez wszystkich mieszkańców Clayton. Ma już około siedemdziesięciu pięciu lat i pracuje jako pediatra, odkąd ukończył specjalizację pięćdziesiąt lat temu. Z perspektywy swojego gabinetu widział, jak większość z nich z noworodków stawała się ludźmi dorosłymi. Ubrany był w tweedową marynarkę, dopasowaną kamizelkę, krawat, który kupił trzydzieści lat temu, z krzaczastymi wąsami, a także brwiami, za dużym nosem oraz włosami wystającymi z uszu, długimi bokobrodami, dużymi uszami i fajką. W kieszeni zawsze trzymał słodycze.

Doktor Cohen przyczłapał do Annie, przekrzywiając do tyłu swój tweedowy kapelusz i przekładając fajkę do lewej ręki, gdy odbierał od niej kubek lemoniady. Mrugnął do dziewczynki, skinął w moim kierunku, popijając wolno. Gdy skończył, odwrócił się do niej bokiem. Annie wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza doktora Cohena, wyciągnęła z niej miętusa i uśmiechnęła się. Ujęła go w obie ręce i zachichotała, jak gdyby znalazła coś, czego nikt inny nie miał.

Uchylił kapelusza, zawiesił fajkę na dolnej wardze i zaczął okrążyć swojego starego cadillaca zaparkowanego przy chodniku. Zanim otworzył drzwi, spojrzał na mnie:

– Do zobaczenia w piątek.

Przytaknąłem i uśmiechnąłem się.

– Już czuję ten smak – rzucił, oblizując wargi i potrząsając głową.

– Ja też – i rzeczywiście czułem.

Wycelował we mnie swoją fajkę.

– Zajmij mi miejsce, jeżeli będziesz pierwszy.

Skinąłem i Sal odjechał, jak przystało na starszego pana, środkiem jezdni, niepospieszany przez nikogo.

– Znasz doktora Cohena? – zapytała Annie.

– No – zawahałem się przez chwilę, zastanawiając się, jak by dokładnie to ująć. – Łączą nas... cheeseburgery.

– A – powiedziała, kiwając głową. – Masz na myśli Studnię.

Skinąłem na potwierdzenie.

– Zawsze, gdy idę do niego z wizytą, mówi albo o zesłym piątku, albo o tym, że nie może się doczekać na następny. Doktor Cohen kocha cheeseburgery.

– Nie on jeden – dodałem.

– Mój doktor nie pozwala mi ich jeść.

Trudno byłoby mi się zgodzić z taką opinią, ale nie powiedziałem tego na głos. Przynajmniej nie wprost.

– Zabranianie dziecku jedzenia cheeseburgerów powinno zostać uznane za przestępstwo.

Uśmiechnęła się.

– Tak mu właśnie powiedziałam.

Gdy kończyłem swoją lemoniadę, Annie przyglądała mi się bez zniecierpliwienia lub niepokoju. Wiedziałem, że pomimo tej sterty pieniędzy w plastikowej butli, nawet gdybym nie dał jej złamanego grosza, ona i tak dolewałaby

mi lemoniady, aż stałbym się żółty albo dopóki lemoniada nie zaczęłaby wyciekać mi uszami. Problem polegał na tym, że miałem przed sobą więcej życia niż ona. Nadzieja dla Annie mogła spoczywać w tej właśnie butli i miałem wrażenie, że jej wiara w Boga mogłaby przenieść górę Mount Everest lub zatrzymać słońce, ale bez nowego serca umrze, zanim doczeka okresu dojrzewania.

Jej spojrzenie skupiło się na mnie, raz jeszcze wędrując w górę, a później w dół.

— Jaki duży jesteś? — zapytała.

— Wzrost czy waga?

Zrobiła sobie z dłoni daszek tuż nad wysokością oczu.

— Wzrost.

— Metr osiemdziesiąt pięć.

— A ile masz lat?

— Wiek ludzki czy psi?

Zaśmiała się.

— Psi.

— Dwieście pięćdziesiąt dziewięć — odparłem po chwili zastanowienia.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

— Ile ważysz?

— W systemie angielskim czy metrycznym?

Wywróciła oczami i odparła:

— Angielskim.

— Przed śniadaniem czy po obiedzie?

Nie mogła się zdecydować. Podrapała się po głowie, rozejrzała po chodniku i przytaknęła:

— Przed śniadaniem.

— Sto siedemdziesiąt cztery funty.

Wpatrywała się we mnie jeszcze przez chwilę:

— Jaki numer buta nosisz?

— Numeracja europejska czy amerykańska?

Zacisnęła wargi, starając się powstrzymać śmiech; a następnie zakryła usta dłonią.

— Amerykańska.

— Jedenastkę.

Spojrzała na moje stopy, zastanawiając się prawdopodobnie, czy mówiłem prawdę. Następnie wygładziła sukienkę, wstała i wyprężając do przodu pierś, wydekłamaowała:

— A ja mam siedem lat. Ważę czterdzieści pięć funtów. Noszę szóstkę i mam metr dwadzieścia pięć wzrostu.

W moim umyśle znowu pojawił się szept: *O tygrysie serce w kobiecej skrywane postaci.*

— No, i co? — spytałem.

— Jesteś większy ode mnie.

Zaśmiałem się:

— Trochę tak.

— Ale — uniosła palec, jak gdyby sprawdzała kierunek wiatru — jeżeli dostanę nowe serce, mój pan doktor mówi, że mogę jeszcze trochę podrosnąć.

Skinąłem wolno.

— Szanse są całkiem spore.

— A wiesz, co bym później zrobiła?

— Z nowym sercem czy większym wzrostem?

Zastanowiła się przez chwilę:

— I tym, i tym.

— Co?

— Zostałabym misjonarką jak moja mama i tata.

Myśl o biorcy serca włączającym się po gorących bezdrożach Afryki, setki mil od dostępu do regularnej pomocy farmakologicznej, profilaktycznej opieki zdrowotnej lub kogokolwiek posiadającego wiedzę konieczną do ich stosowania, była niemożliwością tak oczywistą, że wszelka nadzieja lub wiara, że kiedyś może się ziścić, wydawały się bezsensowne.

– Pewnie byliby z ciebie dumni.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Są już w niebie.

Przez moment milczeliśmy, po czym odezwałem się:

– Cóż, jestem pewien, że tęsknią za tobą.

Nacisnęła kciukiem spust i zaczęła nalewać kolejny kubek.

– Oj, ja też za nimi tęsknię, ale zobaczymy się znowu – podała mi lemoniadę i uniosła dłonie, jakby wyrównywała szale wagi. – Za jakieś osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat.

Pijąc, rozważałem nieprawdopodobieństwo.

Spojrzała na mnie znowu, a wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki zaciekawienia.

– Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?

Dopiłem ostatni łyk i spojrzałem na nią z góry.

– Robisz to wszystkim swoim klientom?

Z założonymi do tyłu rękami, nieświadomie kliknęła obcasami. Wyglądała jak Dorotka z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

– A co robię?

– Zadajesz tyle pytań.

– No... taak, chyba tak.

Pochyliłem się, zbliżając swoje oczy do jej oczu.

– Jesteśmy, moja droga, twórcami muzyki, tymi, którzy śnią swoje sny.

– Znowu pan Szekspir?

– Pudło. Willy Wonka.

Zaśmiała się radośnie.

– Cóż – rzekłem – dziękuję ci, Annie Stephens.

Ponownie dygnęła z gracją.

– Do widzenia, panie Reese. Proszę mnie jeszcze kiedyś odwiedzić.

— Jasne.

Przeszedłem przez ulicę i sięgnąłem po kluczyki, żeby otworzyć swojego suburbana. Z kluczykami w ręku wpa-trywałem się w przednią szybę samochodu, przypominając sobie wszystkich tych, którzy byli w tej samej sytuacji co ona, i tę emanującą z nich magnetyczną nadzieję, której żadna siła, piekielna ani ziemską, nie zdoła zdławić.

I przypomniałem sobie również, że kiedyś byłem w czymś dobry i że poznałem kiedyś miłość. Gdzieś w środku mnie zakołatała myśl: „Rozlany jestem jak woda i rozłączają się wszystkie moje kości; jak wosk się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje”.

Przez wzgórze przedarła się silna bryza, przetaczając się w kierunku wschodnim, wzdłuż ulicy Savannah. Tłukła się o stare ceglane budynki, o chodnik, kręciła skrzypiącymi wiatromierzami, zawirowała pośród wiszących, melodyjnych dzwonków. Dotarła do straganu Annie, gdzie porwała jej styropianowy kubek, rozrzucając po ulicy prawie dziesięć dolarów w monetach i banknotach. Annie poderwała się ze swojego składanego krzesła i rozpoczęła pościg za papierowymi pieniędzmi, wbiegając na skrzyżowanie.

Nie zorientowałem się na czas, a ona nawet nie zdążyła się obejrzeć.

Dowoząca pieczywo ciężarówka właśnie mnie minęła, jadąc ulicą South Main. Trafiała na zielone światło i przyspieszyła, sypiąc iskrami z rury wydechowej i wypuszczając biały kłęb dymu. Usłyszałem włączone w szoferce radio grające folk i zobaczyłem kierowcę wpychającego sobie do ust batona Twinkie, w chwili gdy wjeżdżał na skrzyżowanie z ręką uniesioną, aby osłonić się od blasku słońca. I wtedy właśnie musiał zauważyć żółć jej sukienki. Nadepnął na

hamulce, blokując tylne koła. Ciężarówka zaczęła się obracać i podskakiwać. Im bardziej obracała się na bok, tym gwałtowniej jej koła podskakiwały na asfalcie.

Annie obróciła się raptownie w kierunku źródła hałasu i zamarła. Wypuszczone z ręki pieniądze pofrunęły ponad ulicą niczym motyle królewskie. Z przerażenia nie utrzymała moczu. Przez jej zaciśnięte gardło nie zdołał wydostać się nawet pisk.

Kierowca krzyknął: „O słodki Jezu, Annie!” i skrzył kierownicą najmocniej, jak tylko było to możliwe, uderzając tylnym zderzakiem w bok przedniej części karoserii zaparkowanej na poboczu hondy accord. Ciężarówka odbiła się od hondy i uderzyła w Annie wypłaszczoną częścią maski dokładnie na wysokości jej piersi. Dźwięk ciała wbijającego się w obudowę zabrzmiał jak wystrzał z działa.

Zdołała jeszcze unieść jedną rękę, która przejęła większą część uderzenia, zanim potoczyła się do tyłu niczym żółta kula do kręgli. Jej kapelusz poszybował w jednym kierunku, a nogi i reszta ciała w drugim. Z głuchym uderzeniem upadła na przeciwległą stronę ulicy i znalazła się pod fordem pick-upem. Lewe przedramię trzasnęło niczym przełamana wykałaczka. Ostatni podmuch wiatru pochwycił dolny brzeg jej sukienki, zawiewając ją na twarz. Leżała nieruchomo, z głową w kierunku opadającej w dół ulicy i żółtą sukienką, pokrytą teraz czerwonymi plamami.

Byłem przy niej pierwszy, tuż za mną znalazła się kobieta zza kasy, krzycząca wniebogłosy z szaleństwem w oczach. W ciągu paru sekund zebrało się zbiegowisko.

Oczy Annie były zamknięte, ciało bezwładne, a skóra blada i przezroczysta. Język zapadł się i zablokował drogi

oddechowe, uniemożliwiając oddychanie. Jej twarz zaczęła sinieć, a reszta ciała stała się kredowobiała. Niepewny, czy nie uszkodziła kręgosłupa, ostrożnie ująłem ją za szyję i za pomocą chusteczki wydobyłem język, aby płuca mogły zassać powietrze. Wiedziałem, że nawet najmniejszy ruch karku może spowodować dalsze pogorszenie stanu kręgosłupa, jeżeli faktycznie był uszkodzony, ale musiałem odblokować jej drogi oddechowe. Bez powietrza nie ma życia. Wybrałem tylko jedną z opcji.

Klatka piersiowa Annie unosiła się i opadała, gdy sprawdzałem jej puls na tętnicy szyjnej, drugą ręką szukałem latarki, badając źrenice. Wpatrując się w gałki oczne, z latarką w zębach, zdjąłem ze swojej piersi aparat do badania tętna marki Polar i ułożyłem go na wysokości jej mostka. Wskazanie pulsu na moim zegarku natychmiast wzrosło z sześćdziesięciu dwóch do stu pięćdziesięciu sześciu. Wyczułem miejsce najsilniejszego sygnału, a następnie obiema dłońmi wystukałem zarys jej serca, odkrywając to, co już wiedziałem – było o pięćdziesiąt procent większe niż powinno.

Kobieta zza kasy spojrzała na moje dłonie spoczywające w miejscu niedojrzałych piersi Annie i uderzyła mnie mocno w twarz: „Zabieraj od niej te łapska, obrzydliwy zboczeńcu!”.

Nie było czasu na wyjaśnienia, przytrzymałem aparat we właściwej pozycji i obserwowałem źrenice dziewczyny. Kasjerka spojrzała Annie w oczy, zobaczyła zapadający się język i przykucnęła przy jej boku. Szarpnęła zawieszony na jej szyi łańcuszek, wysypując na brzuch dziewczynki niewielką zawartość fiołki z tabletkami i gubiąc przy tym także coś błyszczącego, może ze złota, w rynsztokowym szlamie pod ciężarówką. Chwyciła dwie

tabletki i sięgnęła, aby umieścić je pod językiem Annie. Z jedną ręką na jej szyi, nie tracąc Annie z pola widzenia, chwyciłem kobietę za rękę. Zaciskając wokół niej palce, powiedziałem spokojnie.

— Jeżeli włoży jej to pani do ust, zabije ją pani.

W przypiływie paniki oczy kobiety rozjarzyły się blaskiem, a żyły na szyi stały się nabrzmiąle. Była silna i prawie udało się jej wyrwać swoją rękę, ale trzymałem ją mocno, nie spuszczając z oczu Annie.

— Łapy przy sobie. Zabijesz ją.

Spojrzała w kierunku tłumu, który zebrał się naokoło.

— Zabije ją! On chce zabić Annie!

Dwóch wielkich facetów w wypłowiałych kombinezonach i baseballówkach z napisem „John Deere”, jedzących coś w barze, skierowało się w moją stronę.

— Panie, weź no pan, zabierz te *rence*. Dziewczynkę znamy, ale ciebie to pierwszy raz tu *widze*.

Był prawie dwa razy większy ode mnie i nie było czasu na tłumaczenia, a tylko ja wiedziałem, co robić. Trzymając kobietę mocno za rękę, obróciłem się i kopnąłem tego większego centralnie w krocze, powalając na kolana.

Drugi chwycił mnie swoją wielką łapą za ramię:

— Koleś, to mój brat jest i błąd zrobiłeś.

Wolną ręką grzmotnąłem go najmocniej, jak potrafiłem w brzuch, który nie był wcale małym celem, i on także się osunął, łapiąc powietrze i zwracając na chodnik resztki śniadania.

Odwrociłem się do kobiety, która cały czas krzyczała, błagając tłum o pomoc.

— Zabije ją! Annie umiera! Na miłość boską!

Było coraz gorzej. Odgiąłem jej palce swoją drugą ręką, spojrzałem w oczy i powiedziałem spokojnie:

— Proszę podać jej połowę tabletki.

Spojrzała zmieszana, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Większy z braci zaczął się podnosić, klęknął i już zmierzał w moim kierunku, gdy kopnąłem go zamasyście w brzuch, nie na tyle jednak mocno, aby połamać mu żebra.

Kobieta spojrzała w dół na Annie, a następnie na leżących u moich stóp bliźniaków spod znaku Traktora. Wyraz jej twarzy sugerował, że wszystko, co mogłem jej powiedzieć, nie odpowiadało temu, co czytała lub co mówiono jej wcześniej.

— Ale... — zaczęła.

Pokiwałem głową uspokajająco.

— Zaczniemy od połówki i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli włożymy dziecku pod język tak dużą ilość nitrogliceryny, spadnie jej ciśnienie i już nic nie będziemy mogli zrobić. Uwolnięm jej rękę.

— Proszę podać jej połówkę.

Kobieta przegryzła tabletkę na pół, wypluwając drugą połowę niczym czop ładunku do muszkietu, i włożyła ją Annie pod język. Dziewczynka była przytomna; jej oczy z trudem koncentrowały się na otoczeniu, a ramię zwisało jak u marionetki. Naokoło mnie działo się bardzo wiele: ludzie, klaksony, dobiegające z oddali syreny, ale ja skupiłem się — zgodnie z tym, czego mnie uczono — na trzech rzeczach: tętnie, żrenicach i oddychaniu.

Nitrogliceryna rozpuściła się i na policzki Annie powróciły kolory: rezultat rozszerzających się naczyń krwionośnych, ułatwiających dopływ krwi i tlenu do kończyn.

Głos kobiety brzmiał miękko.

— Annie? Annie? — delikatnie poklepała ją po dłoni.— Trzymaj się, dziecko. Pomoc już nadchodzi. Wytrzymaj. Już jadą. Słyszę ich.

Annie spróbowała się uśmiechnąć. Jej tętno nieco wzrosło, ale wciąż pozostawało niestabilne.

Słyszając zbliżające się syreny, starałem się wyliczyć, ile czasu zajmie im przybycie na miejsce, postawienie diagnozy, ustabilizowanie jej stanu i transport. Według tych wyliczeń Annie mogła znaleźć się w szpitalu za dwanaście minut.

Patrząc na Annie mrugającą i spoglądającą na ludzi wokół, zwróciłem się ponownie do kasjerki:

— A teraz drugą połówkę.

Dziewczynka otworzyła usta i kobieta umieściła połówkę tabletki pod jej językiem. Gdy się rozpuściła, wyjąłem z kieszeni własną fiolkę, opróżniłem jej zawartość i podałem jej małą dziecięcą aspirynę.

— Teraz to.

Zrobiła, o co prosiłem. Odpiąłem zaczep zegarka połączonego z aparatem do mierzenia tętna i zapiąłem go wokół nadgarstka Annie. Zwisał luźno, choć zapięty był na ostatnią dziurkę.

Gdy syreny zbliżyły się, spojrzałem na kobietę naprzeciwko mnie i skinąłem na zegarek oraz aparat na pierśi Annie.

— Jedno współdziała z drugim. Pokazują, co się dzieje z jej sercem. Lekarz pogotowia, jeżeli zna się na rzeczy, będzie wiedział, co z tym zrobić.

Pokiwała i odgarnęła z oczu posklejane i pokryte błotem włosy, układając je za uszami.

Dziesięć sekund później nadjechała karetka. Wyskoczyli z niej ratownicy i widząc, że wszystko jest pod moją kontrolą, skoncentrowali na mnie swoją uwagę.

Nie traciłem czasu.

— Rozległy uraz. Uszkodzenie lewego segmentu ściany klatki piersiowej, drogi oddechowe drożne, oddech

samodzielny na poziomie trzydzieści siedem. Wyczuwalny chrzęst sugerujący odmě podskórną, podejrzenie lewostronnej odmy płucnej.

Jeden z ratowników spojrzał na mnie, a jego twarz wyrażała oszołomienie.

— Myślę, że ma uszkodzone płuco — wyjaśniłem.

Pokiwał głową, a ja kontynuowałem:

— Puls sto pięćdziesiąt pięć, nieregularny. Chwilowa utrata przytomności, w tym momencie dwanaście według skali Glasgow.

Przerwał mi:

— Czyli uderzenie w głowę.

— Otrzymała — kontynuowałem — dwa razy po zero dwie dziesiąte nitrogliceryny podjęzykowo, z przerwą pięciominutową. — Wskazałem na jej bliznę na śródpiersiu. — Postoperacyjna, na otwartym sercu. Prawdopodobnie sprzed dwunastu miesięcy. I — spojrzałem na zegarek — aparat do pomiaru tętna typu Polar, ustawiony i włączony siedem minut temu.

Skinął głową, zbliżył się i zaczął nakładać jej na usta aparat tlenowy.

Bliźniacy spod znaku Traktora siedzieli za mną z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Z wolna zaczęło coś do nich docierać, więc dali mi spokój. Bardzo dobrze, ponieważ pomyślałem, że gdyby rzeczywiście chcieli się do mnie dobrać, pewnie by im się to udało. Nie mogłem już liczyć na sprzyjające mi zaskoczenie.

Ratownik zbadał źrenice Annie, powiedział jej, by oddychała normalnie, i zaczął owijać wokół jej prawego ramienia rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia. W tym czasie drugi z medyków zbliżał się z usztywniaczem na szyję i noszami. Dwie minuty później podano jej — ostrożnie, aby nie urazić ramienia — kroplówkę na podniesienie

ciśnienia i przeniesiono do ambulansu. Obok usiadła ciocia Cici i odjechali w kierunku Rabun County Hospital. Gdy zamykali drzwi, kobieta gładziła ją po włosach i szepotała coś do ucha.

Gdy jezdnia opustoszała, a policja przesłuchiwała kierowcę ciężarówki, mieszkańcy zaczęli rozchodzić się po ulicy, z rękami w kieszeniach, kiwając głowami i wskazując na skrzyżowanie oraz oddalający się wiatr.

Odwrociłem się do dwóch facetów za mną i wyciągnąłem rękę, aby pomóc pierwszemu wstać.

— Bez urazy?

Ten większy podał mi rękę, a ja zaparłem się, gdy wstawał.

Skinął na ambulans.

— Myśmy myśleli, że chcesz jej zrobić *jaką* krzywdę.

Odprowadziłem wzrokiem karetkę. I odezwałem się, zwracając się w połowie do siebie samego:

— Nie, mój panie. Tylko trochę.

Pomogłem podnieść się drugiemu i obaj odmaszerowali, kręcąc głowami, poprawiając czapki i pasy przy swoich kombinezonach.

Za mną jakiś starszy gentleman w kapeluszu z rondem, długim płaszczu i z butami pachnącymi paliwem do diesla mamrotał pod nosem: „Kiedy ta dziewczyna będzie w końcu miała spokój? — splunął precyzyjnie strumieniem ciemnego płynu do kratki ściekowej. — Na tyłu ludzi w mieście, dlaczego właśnie ona? Życie nie jest w porządku. Nie jest”. Splunął znowu, tym razem na chodnik, i odszedł ulicą.

Gdy tłum się przerzedził, kucnąłem przy krawężniku, znalazłem to, czego szukałem, i wsunąłem do kieszeni. Było już znoszone i miało wygrawerowane coś na drugiej stronie. Dźwięk syren cichł w oddali, a w powietrzu czuć

było zapach cynamonu, brzoskwiniowego ciasta, grilla i spalin z silników Diesla. I może jeszcze nutę krzewu zwanego jaśminem konfederatów. Gdy odjeżdżałem, spojrzałem na kolejkę uformowaną przed plastikową butlą. Ludzie wrzucali do niej banknoty i wracali do pracy.

ROZDZIAŁ 2

Minęło dziewięć miesięcy, zanim odnalazłem klucz. Schowała go na dnie drewnianego pudełka, które było u mnie od dzieciństwa, leżąc pod sfatygowanym i zakurzonym egzemplarzem Tennysona. Nazwa banku widniała wygrawerowana na łańcuszku do klucza, tak jak i numer skrzynki.

Do banku pojechałem razem z Charliem. Kasjer zawiadomił kierownika, który poprosił mnie o jakiś dokument tożsamości, a następnie zaprowadził do małego pomieszczenia ze stołem i czterema krzesłami, po czym zniknął. Szybko pojawił się ponownie, prosząc o podpisanie jakichś papierów. Podpisałem, a on znowu zniknął, pojawiając się po chwili z niewielką, zamkniętą kasetką. Opuścił nas, zasuwając za sobą kotarę. Charlie siedział spokojnie, z dłońmi na kolanach, przybrawszy nieskazitelną pozę i czekając cierpliwie. Wsunąłem i przekręciłem klucz. Rozległo się kliknięcie, a Charlie obrócił głowę. Zdecydowanym ruchem uchyliłem wieczko. W środku znajdowały się trzy listy, wszystkie zaadresowane do mnie. Charakter pisma nie pozostawiał wątpliwości.

Na kopercie pierwszego napisano: „Otworzyć teraz”. Na drugim: „Za rok”. A na trzecim: „Za dwa lata”. Ująłem w dłoń pierwszy list, wyczułem palcami skrzydło koperty i wyciągnąłem z niej dwie kartki. Pierwsza była kopią aktu darowizny całkowitego ubezpieczenia na życie, opiewającego na kwotę 100 000 dolarów, którą ojciec Emmy

zapisał jej, gdy była jeszcze dzieckiem. Najwyraźniej uczynił to, zanim ktokolwiek dowiedział się o jej stanie i żadne z nich nigdy mi o tym nie powiedziało. Druga kartka była listem. Usiadłem na krześle obok Charliego i zacząłem czytać. „Reese, jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że się udało. Odeszłam, a ty zostałeś sam...”.

Moje oczy zaszkliły się, twarz stężała i straciłem równowagę, padając niczym domek z kart. Charlie oraz starszy ze strażników wyprowadzili mnie z banku, sadzając na ławce w parku, na której, skulony w pozycji embrionalnej, dygotałem przez bez mała godzinę.

Później, tego samego dnia, dokończyłem czytanie listu. A następnie przeczytałem go ponownie i po raz kolejny. Świadomość, że napisała go z wyprzedzeniem, przytłaczała mnie. Na końcu widniały słowa: „Reese, nie zachowuj tego listu. Wiem, że to nie w twoim stylu. Wypuść go na wolność. Pozwól mu złapać łagodną bryzę i odpłynąć, jak tyle razy czynił to Ulisses, gdy byliśmy jeszcze dziećmi”.

Zamknąłem oczy, mogąc poczuć na twarzy jej kruchą, prawie przezroczystą dłoń, która starała się dodać mi sił – sił, pomimo słabości.

Posłusznie wyszukałem i przyciąłem sosnową deszczułkę, wywierciłem w niej otwór, zaopatrując w maszt – kółek z drzewa balsamowego – złożyłem list, przekłuwając go i formując w ten sposób żagiel, przykleiłem też kawałek świecy do dębowej płytki poniżej listu, oblewając ją dookoła benzyną do zapalniczek. Zapaliłem świecę i popchnąłem w kierunku delikatnego, lecz szerokiego prądu rzeki Tallulah. Łódka oddaliła się, najpierw na pięćdziesiąt jardów, następnie na sto, w końcu świeca, wypalając się, zajęła rozlany dookoła płyn i całość stanęła w ogniu. Płomień wystrzelił w górę na pięć lub sześć stóp, cienki strumień popiołu i białego dymu uniósł się wyżej, a później

mały statek obrócił się, przechylił na bok i zniknął pomiędzy bąblami powietrza, zanurzając się na prawie osiemdziesiąt stóp i znajdując spoczynek w zatopionym dawno temu mieście Burton, na dnie jeziora.

Odliczałem dni do pierwszej rocznicy, obudziłem się przed wschodem słońca i pobiegłem nad nabrzeże, gdzie rozerwałem kopertę i nakryłem twarz listem, wdychając jego woń. Pochłaniałem każde słowo, każdy najdrobniejszy ślad jej zapachu. Wyobrażałem sobie delikatne drgnienia jej ust, nadających kształt i sens wypowiadanym słowom, nachylenie szyi oraz zaproszenie skryte w spojrzeniu. Słyszałem jej głos, następnie szept, tuż pod powierzchnią bryzy znad jeziora.

Drogi Reese.

Czytałam dziś rano, zanim się obudziłeś. Słowa coś mi przypomniały. Chciałam cię obudzić, ale spałeś tak mocno. Patrzyłam, jak oddychasz, nasłuchiwałam głosu serca i czułam swoje własne, po tysiąc razy, próbując uchwycić rytm twojego. Zawsze tak pewnego, tak silnego. Wodziłam palcem po liniach na twojej dłoni i zachwyciałam się ich siłą i delikatnością. Przypomniałam sobie chwilę, gdy cię spotkałam. Pamiętam ją lepiej niż kiedykolwiek przedtem, Bóg cię wybrał. Obiecaj mi, że nigdy nie zapomnisz. Obiecaj mi, że zawsze będziesz pamiętał. „Opatrywanie ran serc złamanych”. To twój zawód. Twoja praca. To, że odchodzę, niczego nie zmienia. Ocaliłeś mnie wiele lat temu. „Bar-dziej niż kogokolwiek innego...”.

Na zawsze twoja,

Emma

Dzień upłynął mi na wpatrywaniu się gdzieś w dal po-nad powierzchnią jeziora, z palcami śledzącymi linijki

listu. Pisałem go raz jeszcze ze sto razy, wiedząc, że jej ręka wykonywała te same ruchy. W końcu, już w ciemnościach, wyciąłem kolejną deskę, przymocowałem maszt, podlałem benzyną na dziobie oraz na rufie i spuściłem na wodę. Pojedyncze światło odpłynęło w ciemność, po czym, na koniec, rozbłysło płomieniem jakieś dwieście jardów dalej. A później blask przygasł nagle i zniknął niczym płonąca strzała spadająca za murami obronnymi.

Minął kolejny rok, a ja odliczałem dni jak dzieciak przed Bożym Narodzeniem albo skazany oczekujący w celi śmierci na ostatnią chwilę. Nie musiałem się budzić, ponieważ nie spałem, ale gdy nadszedł w końcu poranek, szedłem w kierunku nabrzeża wolno, niczym na egzekucję, i wsunąłem palec pod skrzydło trzeciej koperty. W pełni świadomy. Uwieczony gdzieś pomiędzy brakiem nadziei a piekłem w pełnej postaci. Wystarczył jeden ruch palca, aby dowiedzieć się, jakie były ostatnie słowa, które napisała. W tej ostatniej chwili czułości. Chwili, która nigdy nie była nam dana. Od jej ostatnich słów oddzielała mnie teraz odrobina zaschniętego kleju i wieczna rozłąka. To wszystko.

Uniosłem list pod słońce, patrząc na niewyraźne ślady jej pisma ukrytego pod powierzchnią papieru, nie mogąc jednakże odczytać słów. Wysunąłem palec z koperty, wyrównując jej grzbiet kciukiem oraz palcem wskazującym, i schowałem list do kieszeni.

Minął kolejny rok, przynosząc ze sobą kolejne święto 4 Lipca. Powierzchnia koperty pożółkła i pomarszczyła się, pachnąc teraz moim potem, pismo wyblakło, co stało się bardziej wyraźne z powodu plamy po kawie poniżej zamknięcia. Od momentu, gdy otworzyłem pierwszy list, minęły już cztery lata, ale rzadko zdarzały się chwile takich pięciu minut, podczas których nie myślałbym o niej, o tym dniu, tym wieczorze lub o tym, jak gładziła mnie palcami

po włosach, prosząc, abym się przespał. Jak bardzo starałem się cofnąć czas, jak bardzo chciałem latać dookoła ziemi jak Superman, modlić się jak Józef albo Ezechieli, zatrzymać słońce.

Ale w życiu nie ma powtórek.

Pod wieczór na gałęzi tuż obok przysiadł samiec kardynała, zaczął stroić swój instrument, przypominając mi o tym, co miałem do zrobienia. Bujałem się pomiędzy ziemią a niebem, podtrzymywany przez wyblakłe na słońcu, wysmagane wiatrem ramiona hamaka. Niechętnie schowałem list do kieszeni koszuli i rozpakowałem gazetę. Umocowałem kołek na miejscu, nabijając nań substytut masztu, oblewając pokład łódki benzyną do zapalniczek i delikatnie przymocowując do niego świeczkę. Na niebie, ponad północnym krańcem jeziora, rozpoczęła się karnawał sztucznych ogni zagłuszająca świerszcze. Gdzieś na południowym brzegu dzieciaki piszczały, machając zimnymi ogniami, tworząc kręgi, które świeciły złotym blaskiem, płonące obręcze, przez które przeskakiwać na niby miały ryczące tygrysy.

Od chwili, gdy znalazłem klucz, minęło pięć lat. Moim jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym jest teraz skrzynka pocztowa w Atlancie, z której cała moja poczta przesyłana jest do innej skrzynki w Clayton, nie wcześniej jednak, zanim nie zostanie przekierowana na *post restante* w Los Angeles. Jeżeli ktoś chciałby przesłać mi przesyłkę ekspresową, odbędzie ona drogę w poprzek kraju, i to dwa razy, docierając do mnie po dwóch tygodniach. Z powodu wszystkich praktycznych względów ja nie istnieję i nikt nie wie, czy właśnie przyjechałem, czy może odjeżdżam. Nikt, poza Charliem. Ale wszystko, co Charlie wie na temat mojej tajemnicy, na pewno zatrzyma dla siebie.

W moim domu nie ma luster.

Ustawiłem mały statek na wodzie, popchnąłem, a cicha Tallulah pochwyciła go swym nurtem. Delikatna bryza zakolysała łódkę, która wyprostowała się, obrała kurs na sterburtę, a jej płomienie liznęły ciemność nocy, pnąc się ku górze. Świeca dopaliła się, roznosząc płomienie po całym pokładzie i rozświetlając niebo niczym błękitna, spadająca gwiazda. Płonęła, wypalając się, a później znikła w cichej głębi, pozostawiając po sobie echo wspomnień rozchodzące się w pustce i zdruzgotanym sercu.

ROZDZIAŁ 3

Dziesięć minut w poczekalni oddziału ratunkowego Rabun County Hospital uzupełniło wiele brakujących informacji. Większość mieszkańców okolic Clayton, w stanie Georgia, знаła historię Annie Stephens. Rodzice byli misjonarzami, zginęli dwa lata wcześniej zabici podczas wojny domowej w Sierra Leone; Annie miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła rok przed rodzicami – choroba serca na podłożu genetycznym. Annie mieszkała obecnie ze swoją ciotką Cindy, a kilka miesięcy temu orzeczono, iż kwalifikuje się do zabiegu transplantacji, po tym jak ostatnia operacja nie przyniosła wiele pożytku, a frakcja wyrzutu spadła u niej do poziomu piętnastu procent – do najniższej możliwej wartości. Lekarze, którzy zajmowali się nią w Atlancie, dawali Annie jeszcze sześć miesięcy życia, a było to prawie osiemnaście miesięcy temu. A ponieważ nie była ubezpieczona, już siedem razy zdołała wypełnić tę swoją pięciogalonową butlę, gromadząc siedemnaście tysięcy dolarów na pomoc w pokryciu kosztów swojej własnej operacji.

Miałem rację, sądząc, że nie będzie jej dane dotrzeć do okresu dojrzewania.

Zazwyczaj małe szpitale, takie jak ten, nie mają osobnej sekcji pourazowej na tak wysokim poziomie, ale szybko ogłód tego, co było dookoła, podpowiedział mi, że Sal Cohen musiał mieć z tym sporo wspólnego. Mosiężna tabliczka na ścianie głosiła: *Skrzydło Intensywnej Terapii*

imienia Sala Cohena. W okolicach Clayton historia ta stała się już legendą. Około czterdziestu lat temu doktor Sal nie zdołał uratować pewnego dziecka, ponieważ szpital nie miał wystarczającej ilości odpowiedniego sprzętu. Dwoje dzieci, bliźnięta wcześniaki, i tylko jeden inkubator. Sytuacja ta doprowadziła doktora do szału i krótko potem dwa inkubatory wyrosły na najlepszym oddziale pourazowym na północ od Atlanty.

Cindy McReedy popchnęła drzwi wahadłowe oznaczone napisem *Tylko dla personelu medycznego* i weszła na salę. Stała na krześle, nieświadomie pociągając za rękawy swojej kraciastej bawełnianej koszuli, skrzyżowała ramiona jak gdyby z powodu zimna – lub nieobycia w przemawianiu do grupy ludzi – i odczekała, aż w pomieszczeniu zapanuje cisza. Wyglądała na kogoś, kto nie spał przez jakieś sześć miesięcy i zmuszony był żonglować kulami do kręgli, ośmioma więcej, niż był w stanie. Widziałem taki obrazek już wcześniej; nie będzie lepiej, a później nastąpi pogorszenie. Zamachała rękami ponad tłumem, a bliźniacy spod znaku Traktora zaczęli się odwracać, mówiąc każdemu: „Ciiii!”.

Cindy otarła oczy i odgarnęła włosy za uszy.

– Będzie dobrze. Ramię jest całkowicie złamane... hm, jak zapalka... ale podali jej środek nasenny, złożyli kość i założyli gips. Obudziła się przed paroma minutami i poprosiła o loda na patyku. – Wszyscy na sali uśmiechnęli się, a Cindy kontynuowała: – Kość się zrośnie, aczkolwiek trochę to potrwa. Jest teraz przy niej nasz doktor Cohen, pozwalając jej pogrzebać w kieszeni swojego płaszcza.

Na twarzy obecnych ponownie pojawił się uśmiech. Prawie każda ręką na sali знаła tę kieszeń.

– A co do serca, nie będziemy wiedzieli jeszcze przez kilka dni. Annie jest silna, ale... – zamilkła. – Musimy...

doktorzy... po prostu nie wiedzą. Będziemy musieli poczekać i wtedy się przekonamy. — Ponownie skrzyżowała ramiona i spojrzała ponad tłumem. Otarła łzę, uśmiechając się słabo. — Annie miała dużo szczęścia, że ten przybysz znalazł się przy niej przede mną. Gdyby nie on... cóż, nie byłoby jej tutaj.

Kilka spojrzeń skierowało się w moją stronę.

Ktoś z tłumu krzyknął:

— Cindy, rozmawiałaś z tymi ludźmi z St. Joe's, wpiszą ją w końcu na tę cholerną listę? Stan jest już krytyczny, nie?

Cindy potrząsnęła głową.

— Problem nie leży po ich stronie, ale po naszej... to znaczy, raczej po stronie Annie. Od czasu jej ostatniej operacji i po całej tej sprawie. — Cindy poruszała rękami, jak gdyby zamiatała okruszki chleba z przydrożnego stołu na pikniku. — Sytuacja nie pozwala im rozpocząć procedury, zanim nie znajdzie się odpowiedni lekarz.

Jakiś wysoki facet obok mnie odezwał się donośnym głosem:

— Ale Cindy, na miłość do Betsy! Nie ma co się z małą cackać! To dla jej własnego, najlepiej pojętego dobra. Podziękuje ci, gdy będzie już po wszystkim.

Cindy przytaknęła.

— Chciałabym przyznać ci rację, Billy, ale to trochę bardziej skomplikowane.

„Zawsze takie jest”, pomyślałem.

Cindy obniżyła głos.

— Annie została jeszcze tylko jedna szansa. Nie jestem pewna, czy byłaby w stanie jeszcze raz dojść do siebie. Następnym razem wszystko musi pójść dokładnie tak jak trzeba, ponieważ... — jeszcze raz spojrzała na swoje stopy, a potem znowu na Billy'ego. — Będzie to już prawdopodobnie ostatni raz.

Niska, przysadzista kobieta, stojąca obok wysokiego mężczyzny, strzeliła go trzymaną książką, a on wsunął rękę do kieszeni.

Cindy kontynuowała.

— Kardiolog Annie jest już w drodze z Atlanty. Powinien tu być za około godzinę. Będziemy wiedzieli więcej, gdy skończy ją badać. Później musimy jeszcze znaleźć wystarczająco dobrego lekarza, który podejmie się ryzyka operacji. Problemy pozostają te same: potrzebujemy serca, nie tylko musimy znaleźć kogoś, kto zaakceptuje Annie, ale kogoś, kogo ona zaakceptuje. Jej szanse, teoretycznie, nawet jeżeli znajdziemy najlepszych lekarzy, nie przekraczają kilku procent, a... — Cindy obejrzała się za siebie przez ramię, ścisząc głos. — Większe już nie będą.

W sali zapanowała zupełna cisza. Jeżeli wcześniej można było wyczuć tam atmosferę nadziei, teraz sytuacja zmieniła się całkowicie.

Cindy wyglądała na swoje lata, około trzydziestu pięciu, a jej rzeczowość stanowiła, jak sądziłem, wypadkową zarówno osobowości, jak i lekcji, które otrzymała od życia. Może w ten właśnie sposób sobie z nim radziła. Odbyla już pewnie kilka bitew. Można to było usłyszeć w jej głosie i wyczytać z twarzy. Piaskowojasne włosy opadały jej do ramion, spięte w prosty kucyk zieloną gumką, ściągniętą prosto z gazety.

Bez makijażu. Silne plecy, smukłe proporcje. Wyprostowana i surowa, ale także pełna gracji. Chłodna, ale piękna, chociaż o nienarzucającej się urodzie. Pogmatwana i zapracowana, a także w potrzebie. Typ raczej cebuli niż banana. Jej oczy wyglądały jak zieleń tuż pod skórą avocado, usta jak czerwień, która otacza pestkę brzoskwini. A koszula w kratę, znoszone džinsy, kucyk i ręce

założone jedna na drugą podpowiadały, że była to raczej kobieta czynu niż troski o swój wygląd, ale wydawało mi się, że jak w przypadku wszystkich kobiet w jej sytuacji, znaczną część jej urody skrywała konieczność poświęcania swojego czasu na działanie. Przypominała mi Meryl Streep pracującą na plantacji pomiędzy krzewami kawy w *Pożegnaniu z Afryką*.

Piękno jest tajemnicze, tak jak i straszne. Bóg i diabeł prowadzą tam wojnę, a polem bitwy jest serce mężczyzny.

Zeszła z krzesła, mówiąc:

— Wszystkie wiadomości będę wywieszać na oknie w sklepie — spojrzała na starszego gentlemiana, który stał obok, przysłuchując się uważnie. — Nie ma pan nic przeciwko, panie Dillahunt?

Skinął głową:

— Zadzwon po prostu do Mabel — odparł — i ona wydrukuje wszystko, co zechcesz.

Gdy tłum zaczął rzednąć, Cindy skierowała się do automatu z colą, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu drobnych. Robiła to niezdarnie, rozsypując jakieś grosze dookoła stóp bez wyraźnych oznak, że zbliża się do znalezienia odpowiedniej kwoty.

Głosy w mojej głowie toczyły ze sobą wojnę totalną. W tym czasie wydobyłem z kieszeni cztery ćwierćdolarówki i podałem jej na wyciągniętej dłoni.

Odwróciła się do mnie, wyglądając, jak gdyby próbowała opanować w sobie zimny dreszcz. Odgarnęła kilka kosmyków z twarzy (które natychmiast wróciły na swoje miejsce), wzięła monety i wcisnęła guzik z napisem: „Diet Coke”. Jej podkrążone oczy mówiły, że jest zmęczona, odkręciłem zatem nakrętkę i podałem jej plastikową butelkę. Pociągnęła łyk i spojrzała na mnie znad butelki, mówiąc:

— Jeszcze raz dziękuję.

Spuściła wzrok, dłubiąc czubkiem buta w wyżłobieniu lastrykowej posadzki, a potem spojrzała na mnie ponownie.

– Doktor Cohen mówi, że jestem ci winna przeprosiny.

Potrząsnąłem głową:

– Lekarze nie zawsze mają rację.

– Ale Sal zazwyczaj ma – odpowiedziała.

Staliśmy tak w milczeniu przez jakąś minutę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Annie ma naprawdę dobrego lekarza z Atlanty. Przed chwilą z nim rozmawiałam i powiedział, że obawia się informacji z tej rzeczy na pasku, którą umieściłeś na jej sercu. Mówi, że niewielu ludzi ma przy sobie coś takiego.

– Czasami się przydaje.

Splotła ręce, uniosła głowę i spojrzała przez okno. – Sal powiedział mi, że mogłam ją zabić.

– Reese – powiedziałem, podając jej rękę. – Zdaje się, że pominęliśmy tę formalność tam, na ulicy.

– A tak, przepraszam – wytarła dłoń o spodnie i wyciągnęła ją w moim kierunku. – Trudno w to uwierzyć, ale kiedyś pamiętałam o paru manierach, Cindy McReedy. – Wskazała w kierunku podwójnych drzwi. – Jestem ciotką Annie. Ona jest córką mojej siostry.

– Cindy, czyli Cici, jak słyszałem.

Staliśmy tak przez chwilę, podczas gdy w sali naokoło nas plotkowano. Wskazała na moje ubranie.

– W ciągu ostatnich paru lat spotkałam wielu pracowników pogotowia, ale ty nie przypominasz żadnego z nich. Skąd wiedziałeś, co robić?

Pełnowymiarowe lustro ściennie obok automatu z całą pokazywało moje odbicie. Miała rację. Wyglądałam jak specjalista od masy szpachlowej. A co gorsza, nie goliłem się już od ponad pięciu lat. Poza oczami, prawie sam dla siebie byłem nierozpoznawalny.

– Gdy byłem młodym chłopakiem, załapałem się do pracy na stacji ratownictwa zespolonego, sprzątałem, wykonywałem różne prace. W końcu pozwolili mi jeździć z nimi wozem strażackim i zazwyczaj byliśmy pierwsi na miejscu wypadku. Wiesz, syreny, ciężarówki, wielkie piły mechaniczne.

Uśmiechnęła się, co oznaczało, że albo wierzy w to, co mówię, albo że jest zbyt zmęczona, aby nie wierzyć.

– Później pracowałem tam na nocną zmianę, gdy byłem w college'u, aby dorobić sobie na książki i dodatkowe lekcje – wzruszyłem ramionami: – To jak z jazdą na rowerze.

Do tej pory wszystko było prawdą. Nie kłamałem. Przy najmniej na razie.

– Masz lepszą pamięć niż ja – powiedziała.

Musiałem zmienić kierunek rozmowy. Uśmiechnąłem się.

– Mówiąc zupełnie szczerze, w tym wszystkim najbardziej podobały mi się syreny, błyskające światło. Wciąż mnie to kręci.

I znowu oba stwierdzenia były prawdą, ale ledwo dotykały tego, co najważniejsze.

– Cóż... – jeszcze ciaśniej skrzyżowała ramiona, jak gdyby było jej coraz zimniej.

– Dziękuję za dzisiaj... za to, co zrobiłeś.

– O, prawie bym zapomniał – sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej mały złoty sandał, który Annie miała na szyi, zanim Cindy nie wrzuciła go do ścieku. – Upuściłaś to... na ulicy.

Cindy wyciągnęła rękę, a gdy zobaczyła, co to było, wezbrała w niej kolejna fala łez. Podałem jej swoją chusteczkę, którą otarła sobie twarz.

– Należał do mojej siostry. Odesłali go w kopercie z Afryki, kiedy... kiedy odnaleźli ciała.

Zamilkła, pozwalając, aby włosy opadły jej na oczy. Ta kobieta wiele doświadczyła przez ostatnich dziesięć lat i większość z tego było po niej widać.

— Annie nosiła go, odkąd przyszedł pocztą — delikatnie wsunęła wisiorek do kieszeni. — Dziękuję... po raz trzeci. — Spojrzała za siebie w kierunku podwójnych drzwi: — Lepiej już wrócę. Annie zacznie się zastanawiać, gdzie się podziałam.

Skinąłem głową i Cindy oddaliła się. Mój głos podążył za nią.

— A ja zastanawiam się, czy mógłbym tutaj wrócić za parę dni, może przynieść jakiegoś pluszowego misia albo coś innego.

Obróciła się, odgarnęła za ucho kosmyk włosów i zaczęła wiązać końce koszuli w węzeł na wysokości tali.

— Tak, ale... — obejrzała się po sali i wyszeptwała: — Żadnych misiów. Wszyscy przynoszą misie. Nie mów tego nikomu, ale zaczęłam je już rozdawać — skinęła głową: — Przyjdź, tylko wykaż się inwencją. Może jakaś żyrafa, ale żadnych misiów.

Wyszedłem na parking, starając się nie zwracać uwagi na szpitalny zapach.

ROZDZIAŁ 4

O drugiej w nocy zadzwonił mój budzik. Zsunąłem się z nabrzeża i wskoczyłem do wody. Zimno, owszem, ale poprawia krążenie. Po kąpieli wrzuciłem do sokowirówki marchew i jabłka, dodałem buraka, trochę pietruszki i kawałek selera dla, jak to mówią, „profilaktyki”, a następnie dziecięcą aspirynę. Jeszcze przed trzecią nałożyłem na swoje jasnobrązowe włosy tyle jednorazowej farby, aby wyglądały na prawie całkowicie czarne, a następnie podkreśliłem baki i brodę wystarczającą ilością siwizny, aby dodać swojemu wizerunkowi jakieś dwadzieścia pięć lat. Nieco przed wpół do czwartej wyjechałem na trasę, wyglądając jak ktoś, kto był mi zupełnie obcy, ale wystarczająco wcześnie, aby uniknąć dużego natężenia ruchu i zdążyć na lot do Atlanty o piątej trzydzieści.

Usiadłem przy wyjściu w sali odlotów B, czekając na zapowiedź mojego lotu. Nie lubię lotnisk. Nigdy nie lubiłem. Gdy zdarza mi się zastanawiać, jak musi wyglądać piekło, przychodzą mi do głowy terminale na lotnisku w Atlancie. Tysiące ludzi, z których większość jest dla siebie obca, stłoczonych na ograniczonej przestrzeni, wszyscy w pośpiechu, desperacko starający się wydostać na zewnątrz. Nikt tak naprawdę nie chce tam przebywać, ponieważ skazany jest na przymusowe zawieszenie w próżni, i – podobnie jak wszyscy dookoła – nikt nie jest w domu. Każdy znajduje się tam tylko przejściowo. Pod pewnymi względami, w znacznej mierze tak jak w szpitalu.

Wylądowałem w Jacksonville na Florydzie, wynająłem auto i pojechałem nim do hotelu Sea Turtle w Jacksonville Beach, w którym punktualnie o ósmej miała zacząć się konferencja. Zameldowałem się, zaczesalem włosy gładko do tyłu, dodałem więcej siwizny na bokach, wtarłem w twarz odżywkę do skóry i zawiązałem krawat na podwójny węzeł w stylu Windsor, dzięki czemu kończył się dwa cale nad paskiem. Płaszcz miałem za mały, rękawy za krótkie, obie nogawki spodni założone były na zauważalnie różnej wysokości. Zarówno spodnie, jak i marynarka miały kolor granatowy, ale o różnych odcieniach, pochodzących od dwóch różnych garniturów zakupionych przeze mnie w sprzedaży wysyłkowej, buty na podwójnej podszewie, które wyszły z mody jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Nałożyłem grube okulary w rogowych oprawkach. Szkła nie dawały żadnej konkretnej korzyści, pozwalając mi polegać na moich własnych oczach. A za wsparcie posłużyła mi znoszona laska.

Zaczekałem w łazience, aż wyjdzie ostanía osoba, wszedłem do sali po ogłoszeniu komunikatu. Usiadłem z tyłu. Nie rozmawiałem z nikim, nie dając nikomu okazji do rozmowy ze mną. *A poza tym, czymże jest kłamstwo? Prawdę, jeno podczas maskarady.*

Osobą prowadzącą był człowiek, o którym sporo czytałem, który także sporo publikował i którego obecnie uważano za lidera w swojej dziedzinie. Słuchałem go na kilku innych konferencjach w całym kraju, ale pomimo mojego zaangażowania oraz faktu, że mylił się nieco w pewnych kwestiach, błądziłem myślami gdzie indziej. Okno po mojej lewej stronie wychodziło na Atlantyk, który był teraz spokojny, pofałdowany niewielkimi falami i okraszony pelikanami, od czasu do czasu nawet jakimś morświniem albo surferem. Zanim moje spojrzenie skierowało się

ponownie w stronę podium, towarzystwo udało się już na lunch. Nie potrafiłbym powiedzieć, czego dotyczyło wystąpienie osoby prowadzącej, ponieważ przez cały ranek myślałem o pewnej małej dziewczynce w żółtej sukience, o smaku tamtej lemoniady oraz informacji wygrawerowanej na odwrocie sandała.

Takie konferencje służą dwóm celom: pozwalają – po pierwsze – komuś takiemu jak ja być na bieżąco z najnowszą wiedzą oraz metodami, które nie przedostają się do czasopism naukowych, ale wykorzystywane są na co dzień; po drugie – dają okazję kolegom spotkać się, nadrobić zaległości towarzyskie i poklepać się wzajemnie po plecach. Znam wielu z nich. A raczej *znałem*. Z paroma nawet blisko współpracowałem. Na szczęście nie mogliby mnie teraz rozpoznać, nawet siadając tuż obok.

Co dokładnie stało się tuż po lunchu? Siedziałem sobie w drugim rzędzie od tyłu, miejscu wyludnionym i słabo oświetlonym, gdy pomiędzy krzesłami przyczłapał Sal Cohen, wskazując na miejsce obok. „Co u licha – pomyślałem – on tutaj robi?”.

Skinąłem głową ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Pokaz slajdów trwał jeszcze przez prawie dwie godziny, podczas których nastawienie Sala zmieniało się, sięgając od głębokiego zainteresowania po głęboki sen z towarzyszeniem lekkiego pochrapywania.

O trzeciej po południu na mównicę wkroczył kolejny prelegent. Przez cztery lata pracował nad rozwojem nowej procedury, zwanej obecnie „szwem kapciuchowym Mitcha”, które to określenie brzmiało w uszach zgromadzonych na sali mężczyzn i kobiet jak nowy dżingiel. Status modnego powiedzonka zyskało zwłaszcza dzięki temu, że to właśnie ów lekarz z Baltimore był pierwszym, który z powodzeniem zastosował tę metodę w praktyce.

Nie interesowała mnie jego argumentacja i naprawdę nie dbałem o to, czy uda się komuś wykorzystać tę procedurę w praktyce, więc pozwoliłem sobie wyjść na filiżankę kawy. Tuż po piątej po południu podsumowano jednodniową konferencję, zaliczono w niej mój udział i mogłem już odjechać na lotnisko na samolot do domu. Owszem, niepokoiła mnie nieco możliwość, że Sal zarezerwował sobie miejsce na ten sam lot. Przed odprawą sprawdziłem więc listę pasażerów, ale nie było na niej jego nazwiska. Gdyby było, zrezygnowałbym z biletu i znalazł innego przewoźnika. Wylądowałem w Atlancie, i z powodu paru opóźnień oraz wypadku na wiodącej w kierunku północnym autostradzie Beltway, do domu dotarłem już po dwunastej.

Na drugim brzegu zatoki dom Charliego tonął w mroku, ale to o niczym nie świadczyło. W jego domu światło często było zgaszone. Usłyszałem delikatny dźwięk jego harmonijki wydostający się na zewnątrz. Kilka minut po moim przybyciu dźwięk ustał i pośród nocy zapadła cisza. Nie licząc świerszczy. Zaczęły grać swoją piosenkę, kołyszając mnie do snu — co zajęło im około trzydziestu sekund.

SPIS TREŚCI

Prolog	7
Rozdział 1	11
Rozdział 2	32
Rozdział 3	38
Rozdział 4	46
Rozdział 5	50
Rozdział 6	59
Rozdział 7	64
Rozdział 8	67
Rozdział 9	69
Rozdział 10	73
Rozdział 11	79
Rozdział 12	84
Rozdział 13	92
Rozdział 14	94
Rozdział 15	98
Rozdział 16	106
Rozdział 17	110
Rozdział 18	115
Rozdział 19	137
Rozdział 20	139
Rozdział 21	143
Rozdział 22	154
Rozdział 23	156
Rozdział 24	168

Rozdział 25	174
Rozdział 26	184
Rozdział 27	186
Rozdział 28	194
Rozdział 29	196
Rozdział 30	205
Rozdział 31	214
Rozdział 32	220
Rozdział 33	224
Rozdział 34	237
Rozdział 35	246
Rozdział 36	249
Rozdział 37	252
Rozdział 38	257
Rozdział 39	262
Rozdział 40	269
Rozdział 41	273
Rozdział 42	280
Rozdział 43	287
Rozdział 44	308
Rozdział 45	319
Rozdział 46	330
Rozdział 47	345
Rozdział 48	363
Rozdział 49	366
Rozdział 50	369
Rozdział 51	374
Rozdział 52	383
Rozdział 53	399
Rozdział 54	422